

Wojciech Stanisławski: Dziady millenialsów

Można przymierzać białoruskość, można się z nią mierzyć.

**Takie teksty jak ten możemy prezentować Państwu dzięki hojności
naszych Darczyńców.**

**Zbiórka na funkcjonowanie „Teologii Politycznej Co Tydzień” w
2026 roku [TUTA]**

Lektura „Wygody” Natalki Suszczyńskiej to niełatwe, cierpkie, ważne doświadczenie. Ktoś ciekaw białoruskości i Białorusi musi przygotować się na obfitość ciepłej ironii, trochę niczym w „Jeziorze Bodeńskim” Dygata i doświadczenie, jakie mogłoby się stać udziałem jakiegoś polonofila z Zachodu (bywali kiedyś tacy). Wyobraźmy sobie dygatowską Susanne lub jej wnuczkę wykarmioną wizją Polski z Mickiewicza i Grottgera, z dodatkiem Konwickiego i Herberta, Polski z książek Normana Daviesa, które trafiły do *realnej* Polski współczesnej: nawet nie jak z filmów Smarzowskiego, raczej z telenoweli, czy może któregoś z prześmiewczych dzieł Koterskiego; z Mickiewiczem obecnym w nazwach ulic i jako postrach na lekcjach, z Herbertem, którego kilka wersów przytaczanych jest rytualnie z mównicy sejmowej lub w tweetowych pyskówkach, tak uwielbianych przez co starszych i bardziej temperamentnych publicystów „prawicy”.

Trochę podobnie poczuje się rzeczpospolitanin, gryzący – skoro już przywołaliśmy Herberta – powietrze, czyli doświadczający świata przez pryzmat książek i idei, dla którego „białoruskość” i jej supły polskie zaczynają się od Kostusia Kalinouskiego i Ałaizy Paszkiewicz. Takie *curriculum* przez Bronisława Taraszkiewicza i Wasyla Bykaua prędko prowadzi do książek Bohdana Cywińskiego i Sokrata Janowicza, i pozwala dotrzeć, dojrzeć, do Uadzimira Niekliaujeua, dwóch Swietłan (Aleksijewicz i Cichanouskiej) i kilku włączę po Podlasiu. Gdzieś na końcu tej listy lektur znajdzie się pewnie „Bieżeństwo” Anety Prymaka-Oniszk, rewelacyjny (w obu znaczeniach – jakości oraz odkrywania nieznanej dotąd szerszej prawdy) reportaż historyczny sprzed dekady, opisujący traumę ewakuacji i ucieczki prawosławnej ludności wschodnich guberni Priwisłańskiego Kraju – ale i ich znaczenia dla krystalizacji XX-wiecznego narodu białoruskiego, a przynajmniej jego odłamu mieszkającego w granicach Polski.

Dla narratorki „Wygody” *bieżeństwo* jest terminem trochę już oswojonym, należącym do niepatetycznej, kontestowanej trochę historii rodzinnej („Prababcia była bieżenką. Dotarło to do nas, gdy termin zaczął się upowszechniać, czyli mniej więcej dekadę temu”) i do osobistego doświadczenia i doświadczania: doświadczenia dorastania w „tutejszej”, białostockiej, białorusko-polskiej rodzinie i doświadczania roli „białorusinki/tutejszej/ruskiej”, ale i postrzegania białoruskości/prawosławia przez większość polską/katolicką. To świetne ukazanie od drugiej, mniejszościowej strony nieoczywistości, „nieprzezroczyści” postaw większości, ale i strategii przyjmowanych przez mniejszość. Niechętnie sięgam po nazbyt już popularne współczesne metody literaturoznawcze, od teorii kolonialnej, podsuwającej usłudze takie pojęcia jak „subaltern” czy „kreolskość”, aż po nowszy jeszcze „maranizm” – ale niektóre stworzone przez nie

narzędzia aż się nasuwają. Czym jak nie maranizmem jest decyzja babci Alefity, by – skoro wychodzi za katolika – stać się katoliczką Alą, i babci Zenobii, która „naprawdę miała inne imię, białoruskie”, ale to nowe „miało jej pomóc wtopić się w tłum”?

Przeczytaj również: [TPCT 364] „Białoruś: czyli o poszukiwaniu nowego ładu”

Przy czym, to ważne, nie chodzi w tych przypadkach o prostą mimikrę, o zacieranie, maskowanie czy opiłowywanie konturów obcości: maranizm, a szczególnie w formule praktykowanej przez białoruską społeczność w II RP, PRL i współczesnej Polsce okazuje się grą nierównie bardziej skomplikowaną, w której jest miejsce na wspomniane powyżej wtapianie się i maskowanie, ale i na afirmowanie własnej tożsamości, rozumiane jako strategia obronna („Jak będą pytać, jakiego jesteś wyznania, mów, że prawosławne. Broń boże, że unickie, bo wtedy będą cię uczyć religii po polsku” – to rada udzielona kilkulatkowi u schyłku II RP). Również – w specyficznej sytuacji zależnej od Sowietów, ale i kulturowo, irredentystycznie antyrosyjskiej PRL – decyzję jednego z głównych bohaterów książki o studiowaniu w ZSRS, ale i o wyborze jako kierunku studiów białorutenistyki w Mińsku, gdy „dotarła do niego plotka z Polski, że w kraju nie będzie pracy dla rusycystów”.

Oczywiście, na stronach „Wygody” rozsiane są też (kapryśnie jak rodzynki, a to ze względu na założoną fragmentaryczność książki) odwołania do twardych faktów: do wspomnianego już bieżenstwa i jego roli modernizacyjnej (przynajmniej dla części zbiorowości, która wyrwana została z koleiny dotychczasowych obyczajów i norm), do gorzkiej pamięci „band”, dawniej wspomianej półgębkiem, teraz manifestującej się w nieukrywanej niechęci narratorki do portalu

poświęconego Niezłomnym (to najmocniejsze, do dziś nieprzepracowane rozszczepienie „polskiej” i „białoruskiej” pamięci zbiorowej!). Do fenomenu (groteskowego samego w sobie, a dodatkowo podkreconego przez predylekcję autorki do tragifarsy) limitowanego wspierania przez popaździernikową PRL języków i kultury „mniejszości narodowych” (przy jednoczesnym ścisłym ich nadzorowaniu), co zaowocowało „jedenastoma podręcznikami do nauki języka białoruskiego” napisanymi przez dziadka narratorki. Do ponadprzeciętnej, na tle PRL, gotowości wykształconych Białorusinów do wstępowania w szeregi PZPR (kto oceni, ile w tym było przekonania, ile koniunkturalizmu, a ile znanej badaczom postkolonializmu „postawy subalterna”?). Do żywego niestety w III RP nie dyskryminowania może, lecz „umacniania drugorzędności”, poprzez wyznaczenie w podstawówce na zajęcia z religii dla prawosławnych trącej stęchlizną sali w piwnicy, do której „trafiały najgorsze ławki, najgorsze krzesła i dzieci o nazwiskach kończących się na «-uk».

Mnie jednak bardziej ciekawią mniej jednoznaczne i bardziej osobiste doświadczenia narratorki, rozpoznającej białoruskość, przymierzającej się do niej, mierzącej się z nią. Są tu świetne, groteskowe sytuacje z podejściami do nauki białoruskiego i „prawosławnym obozem konnym”, jest fascynacja białoruskim rockiem – i ewolucja, od fascynacji („Chciałam zbiałoruszczyć, wpisać się w tę foremkę w kształcie rycerza na koniu”) po rezygnację, dotarcie do stanu, w którym przyjdzie „z tą całą białoruskością i z tym całym prawosławiem biedzić, łamać sobie nad nimi głowę i nigdy nie znajdować żadnej odpowiedzi”. Plus akapit, który ma w sobie więcej odcieni psychologicznych niż słów: „Czasem koledzy z klasy nazywali mnie innowiercą, to był taki ich dowcip; jak wszystkie: zabawny za pierwszym razem, mało śmieszny za dziesiątym. Znów śmieszny za dwudziestym a potem znów raczej nie”.

Lekko się to czyta, transformacyjna groteskowość polskich lat 90., z przymierzaniem dzinsów na targowisku, z kasetami VHS, na których znaleźć można sieczkę z fragmentów „Amadeusza”, gali piosenki biesiadnej i reklam Polsatu, świetnie współbrzmi z upodobaniem narratorki do ironii i podszytych *understatementem* point („Na stole lądowały wtedy zamawiane specjalnie ryby: wędzony węgorz i faszerowany szczupak. Każdego roku w szczupaku było coraz więcej bułki tartej, Kiedy zaczęła przeważać, zaniechaliśmy obchodów”). Nie nabierałbym się jednak ani na ton, ani na podnoszoną przez poprzedzających mnie recenzentów formułę „autofikcji”, czyli gry z własną biografią, w którą wplata się fabularyzację i fantazję, ani wspomnianą już fragmentaryczność – pozornie nieuporządkowaną mieszaninę wspomnień i scen z życia rodzinnego, niczym na kasecie VHS.

„Wygoda” jest w rzeczywistości tekstem całkiem serio: adresowanym do szerszego grona niż tylko ludzie ciekawi białoruskich losów w Polsce (ci ostatni nie potrzebowaliby przecież, przy wzmiance o Basowiszczach, pełniącej rolę przypisu wzmianki „gródecki festiwal białoruskiego rocka”, burzącej w dodatku rytm zdania). Jest bardzo konsekwentnym, począwszy od tytułu, zmaganiem się ze spuścizną i figurą dziadka autorki: dziadka w którym, dzięki kilku podsuniętym czytelnikom tropom bio- i bibliograficznym, nie tylko rzeczpospolitanie rozpoznają bez trudu białoruskiego poetę, pisarza i „krzewiciela”, zmarłego pod koniec XX wieku Mikołaja Hajduka.

Przeczytaj również: „Tylko durnie żyją do końca” - Wojciech Stanisławski recenzuje książkę Zyty Rudzkiej

Te zmagania mają przy tym szczególny kształt, każący mi myśleć o wspólnych rysach sporej części autofikcji pisanych przez millenialsów: mógłbym tu wymienić wiele nazwisk, od Katarzyny Wiśniewskiej, Dorotę Kotas czy Łukasza Barysa po kolejnych autorów wydawanych przez Niszę, Cyrankę czy Ha-Art! Najbardziej uderzyły mnie jednak podobieństwa „Wygodny” z czytanyymi niemal równolegle „Trzewiami” Aleksandry Paduch (Czarne, 2025).

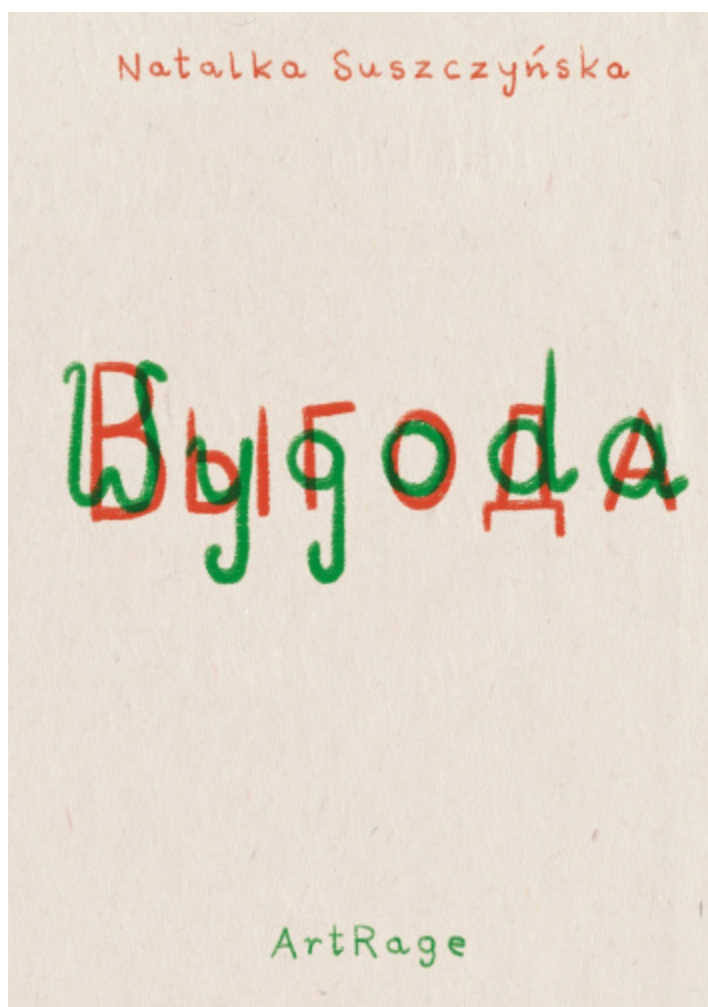
To w znacznej mierze proza wnuczek i wnuczków. Wnuczek, w których życiu, w życiu często niepełnej, dotkniętej rozstaniem, okaleczonej śmiercią rodzinie ważną rolę odgrywają dziadkowie. Już nie ślazowi i pogodni, spotykani na wiejskich wakacjach lub na rodzinnym obiedzie od święta, w staroświeckiej marynarce: wracający, po kilku pokoleniach, do archaicznej figury patriarchy rodu, wtłoczonego z zagrody czy dworku do M-2. Patriarchy tak stanowczego i tyle ważącego (być może na zasadzie substytucji, dopełnienia miejsca po słabym/nieobecnym ojcu), że to jego febliki stają się źródłem rodzinnych legend, przed jego humorami należy mieć się na baczności, z nim przychodzi się zmagać o siebie w nastoletniości – i później.

To rodziny – nie napiszę tu nic nowego – ukrzesłowane, rodziny, w których zarówno miłość, jak dramaty (których nie brakuje) przemilczane są, zahukiwane, a przede wszystkim – zajadane. W „Tłuczkach”, w „Cukrach”, w „Trzewiach”, ale i w „Wygodzie” świat kręci się wokół kotleta, tłuczonych ziemniaków, kapusty oraz *junk foodu*, osobliwie chipsów – zupełnie, jakby Bursowe „Ubierz łać / zapnij łać / szanuj łać” zostało zastąpione przez „jedz kotlet / wcinaj

kotlet / żryj kotlet”. Jest to pewnie świadectwo lat 90., zachłyśnięcia się dostępnością taniego jedzenia po postnej jaruzelskiej dekadzie (choć ten kotlet z ziemniaczaną breją stały się, mam wrażenie, liczmanem, rekwizytem, negatywem równie emblematycznych, lecz pozytywnie przyrumienionych „pierogów”) – ale i niemal gotowy skrypt do przedłożenia podczas sesji u psychoterapeuty, który orzecze jeśli nie bulimię, to przynajmniej syndrom zajadania się.

Mniejsza o kotlet. Spora część tych nowel i powieści przypomina mi notatki sporządzone przed rozpoczęciem sesji psychoterapeutycznej: ze skupieniem, niespotykanym w prozie poprzednich dekad, na rodzinie – nie jednak jej poszczególnych członkach, relacjach z matką, ojcem czy bratem, nie na „polskiej historii rodzinnej” pełnej Niemców, Sowietów i SB, ani na zarywających Harlequinem „rodzinnych tajemnicach”. Owszem, Niemcy i Sowiety ciągle pojawiają się w tle, razem z ZOMO (Paduch) i „bandami” (Suszczyńska) jako źródło traum babć i dziadków. Te traumy nie są jednak zajmujące same w sobie – są sprężynami, jednymi z kilku, przy pomocy których dokręcane jest mocniej madejowe łożo rodziny. Łoże, na którym znalazł się narrator/narratorka, w dorosłym już życiu opisująca świat uderzający chłodem. Jedynym źródłem ciepła (poza może troską babci) jest tam para unosząca się z talerza (nie z wazy, to już nie te czasy, nie te światy) z rosółem wołowym. Czasem te zapiski są już uporządkowane, niemal w punktach („Rodzina kojarzy mi się z bólem. (...) Rodzina kojarzy mi się też z lękiem”). Czasem okryte są lekkim kocykiem fabularyzacji – w sam raz do zdjęcia i położenia, po pierwszym kwadransie sesji, w nogach kozetki.

Wojciech Stanisławski



Natalka Suszczyńska, „Wygoda”. ArtRage, 2025

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „**Czytelnia publiczna**” ukazują się co dwa tygodnie.

► **Przeczytaj wcześniejsze**